

BEATA MAJEWSKA



*Zapiskane w chmurze*

MIRAZ



*Zapisane w chmurze*



# *Spis treści*

*Rozdział 1*

*Nie szukaj mnie, proszę.  
Nie dzwoń, bo nie odbiorę telefonu.  
Nie wysyłaj SMS-ów.  
Nie pisz do mnie, bo nie przeczytam ani jednego maila.  
Nie szukaj mnie w Konstancy, bo nigdy tam nie wrócę.  
Wybacz mi*

# Rozdział I

Któregoś dnia budzisz się  
i patrzysz w zdumieniu  
na własne życie –  
próbujesz podretuszować mu rękę,  
grymas twarzy ukryć  
przed obcym wzrokiem,  
lecz pech znów napelnia ci szklankę.

(Marianna Marin, *Dziesięć tysięcy szubienic*,  
przeł. Irena Harasimowicz-Zarzecka)

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? – Objął ją ostrożnie w pasie i z czułością pocałował w połyskujące złotem włosy wypełnione ciepłem bijącym od jej ciała. Jak zawsze pachniały szamponem, wiosennym wiatrem i jakąś osobistą nutą przypisaną tylko do niej.

– Ale o czym? – Martyna zadarła głowę. Jej mały perkaty nosek zmarszczył się na moment.

– Wiesz, o czym – mruknął czule.

Stęsknił się za nią. Wyjechała przed dwoma tygodniami do rodzinnego domu i wróciła dzisiaj. Ostatni raz rozstali się na tak długo trzy lata temu, ale wtedy ich związek był świeży, pomieszkiwali razem dopiero od kilku miesięcy, a Iulian intensywnie poszukiwał pracy. Może dlatego nie odczuł tak ciężko rozstania.

– Nie. Serio, nie wiem, o co ci biega. – Dziewczyna odsunęła się na odległość wyprostowanych ramion.

Parsknął cicho pod nosem.

– Niezła z ciebie aktorka.

– Jul, nie wiem, co ci odbiło, ale skoro tak uważasz, dziękuję. Mogę być aktorką. Kiedy Oscar? – zapytała, odwijając puszysty szalik, który dostała od niego z okazji walentynek.

– No właśnie. Oscar? Ładne imię, podoba mi się. – Chwycił ją za rękę i poprowadził w stronę wysiedzianej sofy.

Usiedli. Martyna zachichotała nerwowo, gdy kilka razy znacząco uniośł i opuścił brwi. To był znak, że zaraz powie coś ważnego.

– Nie spytasz, jak minęła mi podróż? – Nawiązywała do niedawno uzyskanych praw do prowadzenia pojazdów mechanicznych, jak to śmiesznie określał.

– Widzę, że dobrze, skoro siedzisz tutaj. – Błysnął zębami.

– Dupek. A właśnie! – Uniosła wskazujący palec. – Tata obiecał mi nową furę. – Znów błysnęły jej oczy na myśl, że wkrótce zamieni starego golfa, którego kupili na spółkę, ona i Iulian, na prawie nowe volvo XC60. – Da mi swój wóz, a sam kupuje jakiegoś merca. Super! Cieszysz się?

– Cieszę. Przyda ci się bezpieczny samochód. – Z jego oczu biła czułość.

– Ej, no! Co jest grane? – Martyna dała mu lekkiego kuksańca.

– Jesteś śliczna, mówiłem ci już? – Iulian wyciągnął rękę, żeby okiełznać jeden z niesfornych kosmyków Martyny. Założył go za jej ucho i musnął wierzchem dłoni gładki dziewczęcy policzek. – Paki coś znalazł – powiedział pozornie beznamiętnie, ale zdradził go nieznaczny, lecz widoczny skurcz mięśnia na twarzy.

– Paki? – Martyna zmarszczyła czoło. Cóż mógł znaleźć ich współlokator, dwudziestoparoletni Pakistańczyk, który razem z nimi i dwójką Rosjan, Sergiuszem i Saszą, wynajmował spory, czteropokojowy apartament? Miał jakieś imię, ale nikt go nie pamiętał, chociaż mieszkali razem już prawie cztery lata. Od razu został ochrzczony Pakim. Na szczęście polubił swój nowy przydomek, zresztą był wyjątkowo spokojnym człowiekiem i godził się na wszystko. – Co znalazł Paki i jaki to ma związek ze mną, bo jakiś na pewno ma? – Spojrzała czujnie na Iuliana.

– Znalazł to. – Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął małą białą płytkę. Dwie wyraźne kiedyś kreski już zbladły i straciły swój purpurowy kolor, ale nadal były widoczne, tak samo wyraźnie, jak różowe placki, które prawie natychmiast wykwitły na dekolcie Marty. – Czemu nic nie powiedziałaś? – wychrypiął wzruszony.

Już zdobył stuprocentową pewność, że test ciążowy należał do jego dziewczyny. Gdy kilka dni temu Paki przyniósł go do ich wspólnego saloniku i pokazał znalezisko, opadła mu szczęka. W pierwszej chwili pomyślał, że to Paki zostanie wkrótce ojcem i przyszedł się pochwalić, ale wtedy kumpel pogłaskał bezwiednie swoją długą czarną brodę i podał mu płytkę, mamrocząc pod nosem, że wypada to oblać, ale on pił nie będzie, bo religia mu nie pozwala.

Iulian nie mógł uwierzyć, że to o niego chodzi, ale na logikę tylko on z całej czwórki facetów miał dziewczynę, na dodatek mieszkali razem od prawie czterech lat, sypiali ze sobą regularnie i co się z tym wiąże, prędzej czy później mogli po prostu zaliczyć wpadkę. Paki dziewczyny nie miał, a nawet jeśli z jakąś się spotykał, to bez seksu. Co do Sergiusza i Saszi, ci preferowali własną płęć, ale co trochę dziwne, parą nigdy nie byli.

– Skąd to masz? – Martyna wyciągnęła rękę, zabrała test i zaczęła bezmyślnie obracać go w palcach. W końcu rzuciła nim na stojący tuż obok mały stolik.

– Mówiłem, Paki go znalazł. Sortował śmieci i...

– Raczej przeszukiwał! – Nie pozwoliła mu skończyć.

Była wkurzona. Krew buzowała w jej uszach, a w głowie tłukła się myśl: „Kretynko! Miałaś to wywalić poza domem!”. Straciła czujność, poczuła się w tym miejscu zbyt pewnie. Zrobiła test, a potem, dokładnie tak samo, jak postępowała ze wszystkimi tamponami, podpaskami i wacikami do demakijażu, wrzuciła pudełko i płytkę do małego kubelka w łazience. To był JEJ osobisty kubelek, chłopaki nie miały prawa nic tam wrzucać, Iulian też, a już na pewno nie powinni byli grzebać w plastikowym worku, który stanowił wkładkę wiaderka. Zawsze dokładnie go zawiązywała i na wszelki wypadek wkładała do drugiego.

– Ale o co ci chodzi? – Iulian przełknął ślinę. Nie umknęło mu, że Martyna poczerwieśniała jak pomidor. Jej policzki, szyja,

obnażony dekolt nad głęboko wyciętą bluzką – wszystko pokryło się rumieńcem. – Czemu się złościysz? To przecież...

– Nie życzę sobie, żeby ktoś grzebał w moich rzeczach. Co w tym dziwnego?! – wypaliła, znów nie pozwalając mu dokończyć. Zerwała się z sofy, zabrała test i wybiegła z ich wspólnej sypialni. Zanim Iulian zdołał odzyskać rezon, wróciła z łazienki. Przyniosła ze sobą kubeczek, postawiła go na stoliku, wrzuciła do środka test i z impetem zamknęła klapę. Stojąc przed Iulianem, wycodziła przez zęby: – To mój kubeczek, moje śmieci i moje sprawy. Nikomu nic do tego, co wyrzucam, a już zwłaszcza temu durniowi! Pójdiesz do niego i powiesz, że ma trzymać swoje brudne łapska przy sobie.

– Paki jest w pracy – odpowiedział odruchowo.

– Wobec tego jak wróci.

– Worek się rozerwał... – zaczął tłumaczyć kolegę. – Paki powiedział, że worek się rozerwał, śmieci wypadły i dlatego... Przepraszam. – Zamilkł na dobre.

Próbował nie dopuszczać do głosu czarnych myśli, ale nie był idiotą. Poczul skurcz w sercu, gdy Martyna usiadła obok i chwyciła jego dłoń. Jej palce drżały i były lodowate, aż przeszedł go dreszcz, kiedy zacisnęła je mocniej, wpiła w jego skórę, jakby chciała odebrać mu całe ciepło.

– Jul, posłuchaj. To nie ma sensu.

– Co nie ma sensu?

– Dziecko. Teraz. W naszej sytuacji. – Rozejrzała się wokół. – Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. – Spojrzał na ich złączone dłonie.

Martyna od razu domyślnie zabrała swoją i wsadziła obie pod pachy. Były mokre od potu.

– Usunęłam ciążę.

– Wiem. Zdecydowałaś za mnie. I za dziecko – dodał, bezwiednie zaciskając pięści.

– Chyba zapomniałeś, co kiedyś ustaliliśmy. Na razie żadnych dzieci. Jak to sobie wyobrażasz? Tutaj? – Rozejrzała się wokół po ich ciasnym pokoju zagraconym do szczętu, bez jednego metra wolnej powierzchni. – Jeszcze przyjdzie czas na dziecko. – Zabrała

ręce spod pach i założyła na piersiach. – Umówiliśmy się. Jesteśmy razem, mieszkamy razem, ty pracujesz, ja studiuje, a za rok, gdy obronię magisterkę i znajdę dobrą pracę, przeprowadzamy się na swoje. Wtedy pomyślimy o dziecku – powiedziała, łagodząc ton.

– A co, jeśli się nie uda? Jak mogłaś być tak...

– Bezwzględna? – poddała. – To nie bezwzględność, raczej rozsądek. Lekko myślana? Bez obaw. Przecież nie jestem głupia i wiem, jak się załatwia takie sprawy.

– Jak? – Próbował zapanować nad głosem, ale zadrżał wbrew jego woli.

– Są odpowiednie leki. I są bezpieczne.

„Dla dziecka?” – spytał bezgłośnie.

– Nie wierzę. – Przytknęła dłonie do skroni. Krew pulsowała pod palcami.

– Nie musisz się martwić. To bezpieczny lek, a dokładnie dwa, mifepriston i...

– Oszczędź mi detali.

– Jak chcesz. – Wydęła wargi.

– Nie boisz się, że już nigdy nie zajdziesz w ciążę? Co wtedy? Nie pomyślałaś o tym, zanim zażyłaś to świństwo?

– Widać, że nie masz pojęcia o tych sprawach. Szkoda. Myślałam, że jesteś inny.

– Inny, czyli jaki?

– Normalny? Myślisz, że to przyjemne przechodzić poronienie?

– Raczej aborcję.

– Jesteś wstrętny.

– Bo martwię się o ciebie? O twoją przyszłość, o to, że może nigdy więcej nie zajdziesz w ciążę? Wtedy, gdy będziesz chciała mieć dziecko, bo już skończysz studia, zdobędziesz pracę marzeń, a twój ojciec wręczy nam klucze do mieszkania, które już czeka na ciebie od matury?

– Możesz przestać się bać o moją płodność – powiedziała spokojnie. – Domyśl się dlaczego.

– To nie pierwszy raz? – Nagle uświadomił sobie, że to drugi taki długi wyjazd do rodziców, a poprzednio, trzy lata temu,

Martyna wróciła od nich jakaś dziwna. Przez miesiąc chodziła na przemian to posępna i mroczna niczym chmura gradowa, to przesadnie wesoła i szczebiocząca.

– Wtedy trochę się bałam. Zwłaszcza jak to wszystko przebiegnie, ale niepotrzebnie. Te leki naprawdę są bezpieczne. Izka była ze mną. – Wymieniła imię przyjaciółki, z którą musiała się rozstać, bo ta dołączyła do rodziców mieszkających od kilku lat w Oslo. – To Iza przywiozła tabletki, a potem razem to zrobiliśmy u niej w domu.

– Razem?

– Ja zażyłam leki, a ona mnie pilnowała. Myślałam, że od razu się zacznie, ale chwyciło mnie dopiero dwa dni później, na szczęście nie jakoś bardzo mocno. Nie bolało, nie krwawiłam zbyt obficie, było prawie jak przy zwykłej miesiączce. Bałam się, że będę musiała jechać do szpitala, to było najgorsze. Izka mówi, że czasami tak właśnie się dzieje, gdy macica nie wyrzuci wszystkiego i zostają jakieś resztki, które trzeba wyczyścić.

„Twoja macica sprawiła się na medal. Wyrzuciła wszystko. Z mojego dziecka nie zostały nawet resztki. – Przelknął gorycz. – Z moich dzieci. Z dwójki moich dzieci” – poprawił się w myślach.

– Co teraz? – spytał po chwili ciszy.

– Teraz? Nic. Za tydzień lub dwa pójdę do ginekologa, żeby sprawdził, czy wszystko w porządku.

– Aha.

– Już więcej nic nie powiesz?

– A co mam powiedzieć? – Spojrzała na kubek z odpadkami, myśląc że w środku została jedyna pamiątka po jego dziecku. – Mam cię przytulić? Pochwalić? Powiedzieć, że jesteś bardzo dzielną dziewczynką? Rozsądną? Zapobiegliwą i myślącą za nas oboje?

– Czemu jesteś taki? – W głosie Martyny zawibrował żal. – Umawialiśmy się.

– Jaki? – Niechętnie przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Nieczuły.

– Problem w tym, że jestem zbyt czuły, przeczulony nawet. I jakoś nie potrafię spokojnie myśleć o tym, że dwa razy zostałem

olany, pominięty i pozbawiony wyboru. To trochę smutne, nie uważasz? Jesteśmy razem prawie cztery lata, cztery cholerne lata, a ty uznałaś, że mój głos w tak ważnej sprawie zupełnie się nie liczy. I nie powtarzaj jak katarynka, że się umawialiśmy.

– Mam dość. – Martyna pomachała rękami przy głowie. – Sorry, ale mam dość. Jeśli chciałeś wzbudzić we mnie poczucie winy, niestety poniosłeś porażkę. Siedzisz tu z miną zbitego psa, dywagujesz, biadolisz, a prawda jest taka, że życie to nie zabawa. Nie stać nas na dziecko, ciebie nie stać na dziecko. – Wycelowała w niego wskazujący palec. – Z czego je utrzymamy, skoro ja dorabiam na zleceniach, a ty ciągle zmieniasz pracę? Mieszkamy w klitce razem z trzema kolesiami, którzy raczej nie nadają się na niańki, nawet Paki, choć jak twierdzi uwielbia dzieci i chciałby mieć piłkarską drużynę. Iulian, zejdź na ziemię, a raczej spadnij z różowej chmurki – dokończyła ciszej.

– Nie gadajmy już o tym. Masz rację, życie to nie zabawa. – Odwrócił wzrok, żeby nie widzieć jej twarzy, dziwnie brzydkiej, jakby nieznaney mu wcześniej, świętej grymasem złości i zawodu. – Muszę to przemyśleć.

– Nie ma nad czym myśleć.

– Pewnie tak. – Zgodził się z nią, nie spuszczać wzroku z wpółotwartej szafy, z której wysypywały się ich ciuchy. Już dawno obiecał, że naprawi uszkodzony zawias, a Martyna, że poukłada ubrania. „A jeśli ona ma rację? Nie nadajemy się na rodziców. Jesteśmy niesłowni i bezmyślni. Nie potrafimy zadbać o porządek w pokoju, a co dopiero mówić o dziecku. Nie potrafię zapewnić jej bezpieczeństwa finansowego. Ona to wie, czuje. Dlatego jest taka zimna. To ja jestem przegrywem, nie ona”. Brakowało mu odwagi, żeby spojrzeć na Martynę. Czuł, że zawiódł. Zawalił na całej linii. – Przepraszam – bąknął, gapiąc się na wiszące krzywo drzwiczki mebla.

– Za co mnie przepraszasz? – prychnęła Martyna. Jej wzrok odruchowo podążył w to samo miejsce.

– Miałem ją naprawić. – Wskazał brodą na szafę.

– Boże, czy to ważne?! To tylko pieprzona szafa! – Uderzyła pięścią w siedzisko sofy.

– Ważne. Wszystko jest ważne. Nasze życie składa się z miliona ważnych rzeczy, które choć na pozór mogą wydawać się błahe i nieistotne, razem tworzą pełny obraz. Jak puzzle, gdy brakuje jednego, cała układanka traci sens. Rozumiesz?

– Nie.

– Gdyby Paki nie rozerwał worka ze śmieciami, nie wiedziałbym...

– Efekt motyla? – przerwała mu i zaniósła się krótkim, szczekliwym śmiechem. – Chyba nie wierzysz w te filozoficzne bzdury? Daj spokój. – Wstała, podeszła do szafy i stanęła, przyciskając plecy do uchylonych drzwiczek. – Tu nie chodzi o rozerwany worek i popsute meble.

– Masz rację. Nie chodzi o przedmioty, tylko o nas. O mnie. O ciebie. – Chwilę później tulił ją w ramionach. – Przepraszam. To ja zawałam – przyznał ze wstydem.

– Ja też. Przepraszam, powinnam ci powiedzieć. – Wtuliła się w niego.

– To nic. Już nic.

Znów pocałował ją we włosy.



### *Trzy miesiące później...*

Magda wysiadła z samochodu, przeszła przez podjazd i dopiero zamykając za sobą drzwi domu, poczuła, że jest cholernie samotna. Samotna jak nigdy wcześniej. Dziewczynki poleciały do Stanów, Łukasz jak zwykle był w pracy, a jej pozostały jedynie zdawkowe rozmowy z gospożą czy ogrodnikiem. Ale czy w ogóle miała ochotę z kimś gadać? Niby o czym? Kończył się czerwiec, skończyła się szkoła, a w wakacje ludzie wrzucają na luz, planują urlopy, odpoczywają mniej lub bardziej efektywnie, wszystko wokół zwalnia. Ona też mogła zwolnić. Pytanie, czy właśnie tego potrzebowała?

Usiadła na tapicerowanej ławce i powoli odpinała paski sandałków na szpilce. Lubiła te buty, były wygodne, a jej zgrabne

szczupłe nogi prezentowały się w nich wyjątkowo dobrze. I co najważniejsze, Łukasz uwielbiał, gdy je zakładała. Podobała mu się w nich. Kiedyś, na którymś z rodzinnych wesel podszedł blisko, chwycił ją za łokieć, przyciągnął do siebie i szepnął do ucha, że ma ogromną ochotę na seks. Pamiętała, że dyskretnie się oddalili, znaleźli małą pakamerę zawaloną jakimiś gratami, Łukasz zamknął od środka drzwi na haczyk i zrobili to pośpiesznie, gwałtownie i tak, że obojgu jeszcze długo potem drżały nogi. Kwadrans później wyszli, by prawie natychmiast wpaść na matkę Łukasza. Oczywiście miała do nich pretensje, bo „Magda gdzieś zniknęła”, no właśnie – liczba pojedyncza: „zniknęła” – a dziewczynki zostały puszczone samopas i Kamilce przytrafił się mały wypadek. Biegały, ona i Milenka, po żwirowanych ścieżkach przyrestauracyjnego ogródka i bęc. Biedactwo wywaliło się jak długie. Ciemnobrązowy strupek tkwił na kolanie prawie dwa tygodnie. Już wtedy Magda powinna była uświadomić sobie dwie sprawy. Pierwsza: to na niej spoczywa wychowanie córek, bo Łukasz pracuje, a druga? To Łukasz rozdawał karty. Zawsze on.

I co jej teraz zostało w talii? Nic. Nawet marna dziewiątka. Wyprostowała się na ławce, wsparła tył głowy o chłodną powierzchnię ściany i zamknęła oczy. Co teraz? Dwa miesiące kompletnej pustki. Kamila i Milena skończyły liceum, od października studia w dalekim Poznaniu, a na razie trzy miesiące wakacji z rodzicami Łukasza. Co miała ze sobą zrobić? W zasadzie mogła zniknąć na te trzy miesiące, no, może nie na trzy, bo przecież pracowała jako nauczycielka, więc już w końcu sierpnia musiała być do dyspozycji dyrekcji, ale równe dwa owszem. Sześćdziesiąt dni bycia zbędną.

– Pani Magdo... – Usłyszała głos Luizy, dziewczyny, którą niedawno przyjęła do pracy, żeby trochę odciążać Irenkę, główną gospodynię, panującą w ich willi nieprzerwanie od szesnastu lat. – Źle się pani czuje?

– Czuję się doskonale. – Otworzyła oczy i spojrzała na Luizę, myśląc, że jej zazdrości. Czego? Wszystkiego, a zwłaszcza wolności, braku zobowiązań i tego, że dopiero wchodziła w życie. Jeszcze mogła wybrać. – Straszny upał – bąknęła, żeby jakoś uzasadnić swoje zachowanie.

- Jest bardzo ciepło. I pewnie korki.
- O tak. Jechałam półtorej godziny z Okęcia.
- Ale wszystko w porządku?
- Jeśli masz na myśli, czy dziewczynki poleciały do Ameryki, tak, wszystko w porządku.
- To dobrze. - Luiza uśmiechnęła się szeroko.
- Mój mąż dzwonił? - Magda zerknęła na stylizowany aparat telefoniczny spoczywający na specjalnej, również stylizowanej tacy. I telefon, i taca znajdowały się na jeszcze kunsztowniejszej wykonanej fikuśnej komódce, będącej jednym z ukochanych mebli teściowej.
- Nie, pan Łukasz nie dzwonił.
- Do mnie też nie dzwonił.
- Pewnie jest bardzo zajęty.
- Pewnie tak.
- Zje pani lunch?
- Nie, dziękuję.
- A może zrobię kawę?
- Luizko, pójdę do siebie.

Dobrze, że chociaż małżeńską sypialnię Magda mogła urządzić po swojemu. To był jej azyl, jedyne pomieszczenie w całej ogromnej willi, które zaprojektowała od a do zet. Wymyśliła ją w każdym detalu, a potem, gdy teściowa definitywnie opuściła ich dom i zamieszkała z mężem w małej mieścinie pod Chicago, mogła wreszcie zrealizować swój plan. Łukasz nie miał nic przeciwko. W zasadzie było mu to prawie tak samo obojętne, jak urządzenie całego domu, nalegał jedynie na pozostawienie tych kilku, szkaradnych według Magdy, pamiątek typu telefon w stylu rokoko czy obraz ze świętą rodziną wiszący od zawsze na honorowym miejscu w salonie.

Magda ułożyła się na brzegu materaca i dopiero teraz dała upust łzom. Nie płakała, odprowadzając córki, nie uroniła łzy, gdy się z nimi żegnała, nawet kiedy samolot oderwał ciężki brzuch od płyty lotniska, też nie pozwoliła sobie na słabość, chociaż już wtedy żadna z dziewczynek nie mogła jej zobaczyć. Machała im bardzo długo, aż samolot stał się małą jasną kropką na

bezkresie niebieściutkiego nieba. Córki nie pozwoliły jej na płacz. Obie tego nie znosiły. Czasami Magda nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że te nastolatki, które ponoć były jej dziećmi, mogły tak bardzo się od niej różnić.

Nagle zadzwonił jej telefon. Sięgnęła po torebkę leżącą na nocnej szafce i wyjęła aparat. Szybko chrząknęła kilka razy, żeby Łukasz nie poznał po jej głosie, że płakała.

– I jak? Dziewczyny już w powietrzu?

– Już dawno przecież. – Usiadła i bezwiednie potarła policzek, bo załaskotała ją zabłąkana łza. – Dwie godziny temu wyleciały.

– Oby tylko za tydzień nie wróciły – zaśmiał się Łukasz. – Wcałe bym się nie dziwił.

– Czemu?

– Wiesz, jaka jest mama.

„Taka jak ty i taka jak one?” – Myślisz, że mogą...

– Mogą co?

– Nie wiem.

Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. Cokolwiek by mówić, teściowa i Łukasz nie mieli kłótliwych charakterów. Przeciwnie. Jej mąż bardzo rzadko podnosił głos, a już takiej porządnej małżeńskiej kłótni, z rozbijaniem talerzy ewentualnie skakaniem sobie do gardeł, nie przeżyła nigdy. Cichych dni też nie było. Łukasz nie uznawał takich fochów. Mówił, co miał do powiedzenia i kiedy chciał to powiedzieć. Teściowa tak samo. I dziewczynki podobnie. Cała czwórka była jak sklonowana, jeśli mowa o charakterze i temperamencie.

– Ech, widzę, że nie masz humoru – odezwał się Łukasz.

„A jak mam mieć dobry humor?” – pomyślała.

– Nie, czemu? Jest mi trochę smutno, bo już za nimi tęsknię, ale...

– Bardzo chciały zwiedzić Stany – przypomniał. – Bardzo. Uwielbiają moją mamę, dziadka też. Zobaczysz, będzie im dobrze.

– Nie mówię, że nie.

– To o co ci chodzi? – spytał, niezbyt udanie kryjąc irytację.

Już miała odpowiedzieć tym samym pytaniem. To przecież Łukasz zasugerował, że dziewczynki mogą wrócić wcześniej

przez jego matkę, nie ona. Ugryzła się w język. Mąż nie znosił jakiegokolwiek krytyki rodziców. On mógł ich oceniać, ona nigdy, zaraz stawał się nieprzyjemny i potrafił wsadzić szpilę. Zaczynał wymieniać rozliczne zasługi matki i ojca, to, że mieszkali w ich willi, że przez lata mama opiekowała się wnukami, a ojciec wspierał finansowo. Później było pouczenie, że choćby za to Magda powinna być im dozgonnie wdzięczna, a na koniec podkreślenie rozlicznych zalet rodziców, na przykład: „nigdy się do nas nie wtrącali” albo „mama nigdy nie miała nic przeciwko twojej pracy zawodowej”. Istny ideał.

– Przepraszam, ale naprawdę nie czuję się na siłach teraz gadać – zakończyła.

– Jasne. Porozmawiamy wieczorem.

Nie porozmawiali. Łukasz wrócił późno, a Magda już nie chciała poruszać tematu, tym bardziej że dotyczył teściowej. Przez wyjazd dziewczynek zapomniała o czymś, o czym zawsze pamiętał jej mąż. Musiała przyznać, że był doskonale zorganizowany, potrafił delegować obowiązki i nawet ich prywatne sprawy powierzył swojej asystentce. Pani Karolina, a dokładnie panna Karolina Miś, dbała o wszystko. Miała również nadzór nad kalendarzem, czyli datami urodzin i imienin oraz rocznicą ślubu szefa. Od lat na jej głowie spoczywał obowiązek zamówienia stosownego bukietu kwiatów, podsunięcia szefowi bileciku do podpisu i wysłania pachnącej przesyłki wprost do jego domu.

Nazajutrz po wyjeździe córek Leśniaków, punktualnie o czternastej, bo właśnie o tej godzinie rozpoczęło się nabożeństwo ślubne Magdaleny i Łukasza, do drzwi willi zadzwonił kurier. Tak było rok w rok. Dostawca wręczał „zaskoczony” jubilatce wiecheć kwiatów, prosił o pokwitowanie i to było wszystko. Magda udawała, że się cieszy, wylewnie dziękowała mężowi przez telefon – choć fakt, z roku na rok jej entuzjazm słabł – a wieczorem powtarzała podziękowania, cmokała go w policzek, on ją tak samo, i połowę obchodów rocznicy ślubu mieli już za sobą. Połowę, bo część drugą stanowiła kolacja we dwoje, zawsze w najbliższą sobotę i koniecznie w jakiejś bardzo drogiej, eleganckiej knajpie. To Łukasz rezerwował miejsce, prosił żonę, żeby pięknie się ubrała

i jechali na ósmą do restauracji. Tam również obowiązywał ten sam, kontynuowany od lat schemat, czyli wybieranie wina, dań, deseru, jedzenie, wymiana kilkunastu zdań, powrót do domu i seks.

– Jakie piękne... – zachwyciła się Luiza, biorąc od Magdy okazały bukiet ciemnoczerwonych róż. Próbowała je policzyć, ale szefowa ją uprzedziła.

– Piętnaście. Bo piętnasta rocznica.

– Piętnasta?

– Tak. Wzięliśmy ślub, gdy dziewczynki już były na świecie.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– Nie jesteś – westchnęła Magda. – Postaw je w jadalni.

Poszła na górę, usiadła na brzegu łóżka i wyjęła bilecik z koperty. Przeczytała, a później porównała z poprzednimi. Trzymała je wszystkie w szufladce kasy z biżuterią. Tylko jeden list był cały napisany odręcznie przez Łukasza, późniejsze tylko podpisywał. Parsknęła śmiechem, bo treść tegorocznego biletu była identyczna jak ta sprzed trzech lat, z kolei ubiegłoroczna była taka sama jak w dziesiątą rocznicę. „Czyżby Karolinie brakło inwencji, a może liczy na moją demencję?” Świetnie zdawała sobie sprawę, że te piękne kwiaty to nie dowód miłości i pamięci męża, a jeden z wielu obowiązków służbowych Karoliny Miś. Swego czasu Magda była nawet trochę zazdrosna o tę starą pannę, ale szybko jej przeszło. O ile ze strony Karoliny może istniał jakiś platoniczny afekt skierowany do Łukasza, o tyle ten miał swoją asystentkę w nosie. W ogóle nie zauważał Karoliny Miś – kobiety, była dla niego jedynie Karoliną Miś – żywym wyposażeniem biura.

– Zaraz zwymiotuję – szepnęła Magda, wkładając wszystkie piętnaście bilecików do szufladki. – To jest po prostu obrzydliwe. – Miała na myśli podejście Łukasza do rocznicy ślubu. Wolałaby nie dostać tych przeklętych kwiatów i najchętniej zesłaby na dół, zabrała wiązankę, wyniosła do ogrodu, a tam wsadziła ją do kompostownika i przykryła klapą. – Nie chcę tak – jęknęła bezradnie.

Zdesperowana chwyciła telefon i wybrała numer męża. Musiał czekać, bo odebrał natychmiast. Pewnie chciał odfajkować

krótką rozmowę z obdarowaną żoną i zająć się kolejnymi bardzo ważnymi sprawami. Ku jego zdumieniu owszem, podziękowała, ale nie pozwoliła się rozłączyć, za to zadała dziwne pytanie.

– Czy zrobiłem już rezerwację? – Zrobił głęboki wdech, bo nie miał pojęcia, czy Karolina zdążyła to załatwić. Tym bardziej nie wiedział, jaki tym razem lokal wybierze jego asystentka. – A czemu pytasz?

– Jeśli zrobiłeś, mam prośbę, żebyś odwołał rezerwację.

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć? Nie chcę iść do restauracji.

– Ale dlaczego? – Musiał przyznać, że żona coraz bardziej go dzisiaj zadziwiała.

– Chcę zostać w domu. Zrobię smaczny obiad, coś, co lubisz, zjemy, porozmawiamy. Wolę tak, Łukaszu. – W głosie Magdy wybrzmiewała prośba.

– Oczywiście, że tak, zgadzam się. To bardzo dobry pomysł. Zaskoczyłaś mnie – dodał szybko.

– Naprawdę się zgadzasz?

– No pewnie.

– Nie ma dziewczynek, będziemy sami, będzie miło.

– I romantycznie. – Zaśmiał się cicho.

Ta krótka rozmowa ucieszyła ją bardziej niż piętnaście bukiecików, które już dostała, i kolejne piętnaście, które dopiero miała otrzymać. Zamierzała spędzić piątek, siedząc w domu, ale teraz zmieniła plany. Wybrała się do miasta i całe popołudnie włóczyła po sklepach. Wróciła obciążona papierowymi torbami, ale nikomu, nawet Luizie, nie pozwoliła ich tknąć. Zniosła wszystko do sypialni Mileny i skryła w czeluściach jednej z szaf. Była pełna nadziei i zapału co do jutrzejszego wieczoru, niestety, świeżo rozpalone iskry gaśły powoli, bo Łukasz już wieczorem oznajmił, że jutro musi jechać na kilka godzin do biura. Później, rano, poinformował ją, że wróci około trzeciej, góra czwartej, ale będzie na pewno. Jeszcze wtedy Magda łudziła się, że dotrzyma słowa. Wysłała Luizę do zaprzyjaźnionego gospodarza po świeżutką tuszę kaczki, a sama oddała się zabiegom upiększającym.

Około drugiej, gdy nikogo z domowych pracowników już nie było, postanowiła zacząć przyrządzać popisowe danie. Właśnie miała zabejcować mięso, gdy dostała SMS-a. „Trochę się spóźnię, przepraszam. Łukasz”. Spytała w odpowiedzi, ile to jest „trochę”. Według niego trochę równało się dwie godziny. „Będziesz o piętej?” Jeszcze się łudziła, że ma dla niej choć odrobinę szacunku, ale gdy odpisał, że będzie w domu „nie wcześniej niż o szóstej”, coś boleśnie ukłuło ją w sercu. Nagle przeszła jej ochota na szykowanie kaczkki w pomarańczach. Usiadła na kuchennym krześle i przez chwilę tępo patrzyła na blat stołu założony przyprawami oraz owocami, z których miał powstać aromatyczny sos.

– Mam to wszystko w dupie – poinformowała samą siebie.

Łukasz wrócił przed siódmą. Pięć godzin wystarczyło Magdzie na przygotowanie wyjątkowego prezentu dla męża, wypicie prawie całej butelki wina, które planowała zaserwować do obiadu, oraz obejrzenie czterech odcinków serialu *Punisher* na Netflixie.

– Świętujesz beze mnie? – zapytał, wchodząc do salonu.

– Bez obaw, jest jeszcze druga butelka. – Nawet na niego nie popatrzyła.

– Przepraszam, miałem pilną rozmowę z Domańskim, dlatego...

– Nie interesuje mnie, z kim rozmawiałeś. – Przerwała mu. Wyłączyła telewizor i spojrzała na męża. – Powiedz mi, jak to jest... – zawiesiła na moment głos. – Jak to jest, że gdy zaplanujesz spotkanie w restauracji, zawsze rezerwujesz sobie trzy albo cztery godziny, żeby zdążyć się odświeżyć, założyć wypasiony garniak, koszulę i odpowiedni krawat. Pilnujesz czasu, wyjeżdżamy odpowiednio wcześniej i jak sięgam pamięcią, nigdy nie spóźniłeś się na żadne spotkanie, również na takie, w którym ja uczestniczę lub ci towarzyszę.

– Daj spokój. – Łukasz podszedł i przysiadł na miękkim podłokietniku skórzanej sofy. – Uprzedziłem cię, że wrócę później.

– Czemu szanujesz czas tych wszystkich ludzi, a nie szanujesz mojego? Bo im płacisz, a mnie nie? – Przechyliła głowę. – Tu jest klucz do rozwiązania tej zagadki? Rezerwujesz stolik, wiesz, że ktoś na nas czeka: kierownik sali, kelnerzy, obsługa, dlatego nie chcesz się spóźnić? Bo to nieładnie, niegrzecznie, bez szacunku?

– Przesadzasz. – Łukasz bezwiednie zacisnął pięści. Liczył na miły, spokojny wieczór i na ciepły posiłek, a zamiast smacznego obiadu zastał żonę z nosem pełnym much. – Ugotowałaś coś? – zapytał dla pewności.

– Nie.

– Okej. To może coś zamówimy? Pizzę albo chińszczyznę? Nie pamiętam, kiedy jadłem jakieś fastfoodowe świństwo. – Uśmiechnął się, próbując nie eskalować konfliktu. Czuł, że trochę zawalił, ale nie aż tak, żeby się kajać w nieskończoność.

– Nie jestem głodna. Jeśli chcesz, zamów dla siebie.

– Przepraszam. – Westchnął ciężko.

– Mam coś dla ciebie. – Magda włączyła telewizor i nie spuszczać wzroku z ekranu, machnęła ręką, w której trzymała pilota. – Prezent jest w twoim gabinecie. Na biurku. Wszystkiego najlepszego z okazji piętnastej rocznicy ślubu.

Łukasz wołał zejść jej z oczu. Poszedł do gabinetu, pewien, że ten prezent będzie inny niż wszystkie, i dokładnie tak było. Magda się postarała. W piwnicy znalazła pudełko po kuchence mikrofalowej, włożyła do niego śliczną sukienkę kupioną na dzisiejszą okazję, komplet koronkowej bielizny, parę pończoch, jeszcze zafoliowanych, wysokie czarne szpilki, butelkę szampana, kieliszki, a na górze ułożyła ceramiczny półmisek, w którym leżały filety z piersi kaczki. Mięso było surowe, więc wyciekający z niego sok zmieszany z oliwą i przyprawami wszystko zaplamił. Niestety, Łukasz spostrzegł to dopiero wtedy, gdy odwinął paczkę z papieru i ją otworzył.

– Idiotka – mruknął do siebie.

Inny facet na jego miejscu pewnie ostro by się wkurzył, ale nie Łukasz. Potrafił nad sobą panować, a ta żałosna demonstracja Magdy na pewno nie wystarczyła, żeby stracił zimną krew. Zamknął klapy pudełka i ostrożnie zaniósł całość do pralni. Tam wstawił „prezent” do wanny gospodarczej, przez chwilę rozważając, czy nie zabrać półmiska z mięsem. Gdy pomyślał, co się z nim stanie przez najbliższy upalny dzień, wołał nie ryzykować. Poszedł do kuchni, przyniósł stamtąd dwie reklamówki, owinął półmisek i tak zabezpieczony wsadził do zamrażalnika. Nie znosił

marnować jedzenia. Matka mu wpoila tę zasadę i jak wszystkich, tej też przestrzegaj.

Dokładnie umył ręce, sprawdził, czy nie zabrudził przez wypadek spodni i marynarki i wrócił do Magdy. Choć nadal nie przeszła mu złość, przecież nie mógł tego tak zostawić.

– Dziękuję. Bardzo wymowny prezent – powiedział, wchodząc do salonu. Podeszedł do barku, żeby nalać sobie szklankę whisky. Picie na pusty żołądek nie było rozsądne, lecz teraz nie miał czasu, by iść do kuchni i przygotować sobie cokolwiek do zjedzenia. – Rozumiem, co chciałaś mi przekazać, przepraszam raz jeszcze i obiecuję, że będę szanował twój czas – wygłosił, krocząc powoli przez salon. Zajął miejsce w fotelu naprzeciw żony i bezgłośnie wznosił toast szklanką.

– Imponująca skrucha. – Magda zacisnęła wargi do białości. Irytował ją spokój męża. Myślała, że jej prezent wywoła jakąś bardziej żywiołową reakcję, jakąkolwiek reakcję, a tu nic, Łukasz nadal był opanowany niczym dalajlama. Opanowany i zimny jak głaz. – To nie ma sensu – powiedziała po dłuższej chwili obopólnego milczenia.

– Co nie ma sensu?

Wyłączyła telewizor, odłożyła pilota i zwróciła wzrok na Łukasza.

– Wszystko. My nie mamy sensu. Ty i ja.

– Posłuchaj, rozumiem, że jest ci ciężko i mogę do znudzenia powtarzać przepraszam, ale to tylko trzy miesiące. Ja też tęsknię. – Upił trochę whisky. Przyjemnie paliła w gardle i dawała złudne poczucie sytości, opróżnił więc całą szklankę kilkoma szybkimi łykami. – Też mi brakuje dziewczynek, ich rozmów, krzyków i...

– One nigdy nie krzyczą. Przestały krzyczeć siedemnaście lat temu. – Nie pozwoliła mu skończyć. – Są takie jak ty. Ty też nigdy nie krzyczysz.

– Na Boga! – Ku jej zadowoleniu wreszcie podniósł głos, a nawet uderzył lekko pustą szklanką o udo. – To źle? Źle, że się nie kłócimy?

– Źle, że nie okazujesz żadnych emocji. Mnie nie okazujesz. Żadnych, ani dobrych, ani złych. – Poczowała, że jeszcze moment i nie wygra z łzami, które coraz mocniej szczypały pod powiekami.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nie wiem.

– Zaraz powiesz, że się o nas troszczysz. Źe ciężko pracujesz, zarabiasz pieniądze, mnóstwo pieniędzy, dzięki którym wszystkie trzy możemy żyć jak księżniczki. Mamy piękny, wygodny, duży dom, służbę – podkreśliła – i wszystko, co jest potrzebne do życia na wysokim poziomie. I to jest prawda. Tak samo jak prawdą jest, że nigdy nie zabraniałeś mi chodzić do pracy. I nie myśl, że tego nie widzę. Widzę, doceniam i często ci o tym mówię.

– Zgadza się.

– Pozornie wydawałoby się, że nasze małżeństwo jest idealne. Nie wiem, czy jesteś mi wierny, zakładam, że tak – mówiła, bacznie obserwując jego reakcje, ale Łukasz sprawiał wrażenie kogoś absolutnie bez winy. – Ale łatwiej byłoby mi uwierzyć, że tak nie jest, że mnie zdradzasz, niż w to, że jeszcze choć odrobinę mnie kochasz. Teraz rozumiesz?

– Nie – odpowiedział bez namysłu. – Teraz nie rozumiem jeszcze bardziej. Skoro szczerze rozmawiamy, powiem ci, że... – zawahał się, rozważając, czy jego słowa nie będą zbyt ostre, ale z coraz większym trudem panował nad sobą. – Jak śmiesz podejrzewać mnie o zdradę? Nigdy nie dałem ci powodów do takich podejrzeń. – Podniósł się, żeby pójść ponownie napełnić szklankę. Stał tyłem do Magdy, bo chwilowo wolał jej po prostu nie widzieć. – Nie zdradziłem cię i nie zamierzam, ale ty już zdążyłaś sobie coś wydumać. Jakieś bzdury. – Obrócił się i popatrzył na nią. Jego oczy miały odcień grafitu. Były lodowate i jak wycięte z kamienia. – Nie zdradziłem cię.

– Nie powiedziałam, że mnie zdradzasz.

– Och! – zachnęła się. – Nie łap mnie za słówka. Wiem, co powiedziałaś, ale nawet takie przypuszczenie mnie obraża. Jestem durniem. – Parsknął pod nosem i przez chwilę trzymał szklankę przystawioną do czoła. – A wiesz dlaczego? Bo obchodzę się z tobą jak z jajkiem, a im bardziej staram się być ostrożny, tym gorzej na tym wychodzę. Czego chcesz? – Po chwili znów siedział

w fotelu. Postawił szklankę, specjalnie uderzając jej grubym dnem o blat ławy. – Mam cię opieprzyć? Zjechać, że wymyślasz jakieś brednie?! Coś sobie uroiłaś tylko dlatego, że wróciłem do domu o szóstej zamiast o czwartej?

– Przestań! – Magda już nie mogła nad sobą zapanować. Była pewna, że Łukasz wszystkim doskonale rozumie, był przecież bardzo inteligentnym facetem, właśnie tym ją oczarował, inteligencją i błyskotliwością. Urodą też, bo do dzisiaj, będąc czterdziestodwulatkiem, nadal wyglądał świetnie. Mogła rzec, że jest nawet bardziej przystojny i atrakcyjny niż bez mała dwadzieścia lat temu, kiedy się poznali. – Tu chodzi o mnie!

– To znaczy? – Pierwszy raz tego wieczoru Łukasz poczuł, że traci kontrolę i bardzo mu się to nie spodobało. – Masz romans?

– Nie, nie mam romansu. – Odnotowała z satysfakcją, że głośno wypuścił powietrze, ale to był zaledwie jeden odruch. Prawie od razu twarz męża przybrała swój typowy, wypracowany latami, spokojny wyraz. – Chodzi o mnie, o to, że jestem, ale ty już mnie nie zauważasz. Stałam się przezroczysta jak powietrze i woda, ale brak tlenu zauważyłbyś od razu, podobnie wody. Mojego braku nie. Pamiętasz wycieczkę do Wieliczki? Wróciłam po dwóch dniach, chciałam ci coś powiedzieć, a ty mnie wyśmiałeś.

– Wyśmiałem? – Sięgnął po szklankę, czując, że tym razem *biez wodka nie razbieriesz*, jak mawiał jeden z jego rosyjskich kontrahentów.

– Tak, wyśmiałeś. Powiedziałaś, że już się stęskniłam. Śmiałeś się ze mnie.

– Chryste. – Łukasz z niedowierzaniem pokręcił głową. Pamiętał ten dzień, był wykończony. Dopinał umowę na budowę sześciu cementowni na Białorusi, a Magda chciała mu opowiedzieć o jakiejś bzdurnej wycieczce szkolnej. Nie interesowały go jej problemiki, bo jakież miała problemy w tej pracy, z której, swoją drogą, mogła w każdej chwili odejść. Nie potrzebowali tych nędznych groszy zarabianych na etacie nauczycielki geografii. Łukasz uznawał to za swoiste hobby Magdy, coś, co robi się dla przyjemności i żeby zabić czas. Przy okazji miała trochę „swoich” pieniędzy i czasami kupowała mu jakiś prezent bez zapłaty ze

wspólnego konta. – Żartowałem. To nie było wyśmiewanie, po prostu żartowałem.

„Ale mnie bardzo zabolął ten żart”. Nie powiedziała tego na głos. Łukasz nie lubił, gdy jasno wyrażała, co sprawia jej przykrość. Od zawsze było jej łatwiej odczytać czyjeś emocje, niż pozwolić komuś zajrzeć do własnej duszy. Zresztą co by to dało? On był inny. Dla Łukasza wszystko było proste, zero-jedynkowe, białe lub czarne. Podkurczyła nogi, wsparła stopy o krawędź siedziska sofy i skryła twarz pomiędzy kolanami.

– Chcę wyjechać. Muszę stąd wyjechać.

– Przecież wyjeżdżamy. Początkiem sierpnia. – Przypomniał jej o zaplanowanych wczasach na Majorce. – Jeśli chcesz, mogę to ewentualnie przełożyć na dwa tygodnie wcześniej.

– Nie chcę. Nie przekładaj.

– Aha – mruknął, myśląc że okrutnie męczy go ta rozmowa i gdyby nie wypity alkohol, wsiałby do samochodu i pojechał do biura. Tam zawsze się uspokajał. – Chcesz wyjechać. – Powstrzymał chęć parsknięcia śmiechem.

– Tak. Pojadę gdzieś sama.

– Sama.

– I to już.

– Dzisiaj?

– Nie. Jutro.

– Dokąd się wybierasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Świetnie. Wobec tego pozwolisz, że pójdę coś zjeść, a ty w tym czasie możesz zacząć pakować walizkę. *Bon voyage* – dodał, wstając. Sądził, że na tym koniec, ale dwie godziny później Magda zeszła do salonu i bez słowa wręczyła mu czytnik. – Co to?

– Przeczytaj, to zrozumiesz. Albo nie.

Został sam. Wyłączył powtórkę meczu i otworzył czytnik. Przeleciał wzrokiem kilka linii tekstu, zerknął na początek e-booka, by stwierdzić, że nie zna ani autorki, ani tego tytułu, ale postanowił choć trochę przeczytać. Książka była niewiarygodnie nudna i głupia. Dokładnie rzecz biorąc, główna bohaterka zdawała mu się wyjątkowo głupia, lecz usilnie próbował wejść

w jej emocje. Bez skutku. Po dwóch kwadransach nużącej lektury zapadł w sen. Spał tak mocno, że nie poczuł, jak ktoś wyjmuje mu z rąk czytnik i okrywa go kocem, a potem gasi światło.



Julian pracował od świtu. Wyjął z szafy wszystkie swoje ciuchy, posegregował, większość wylądowała w dwóch okazałych workach na śmieci, a kilkanaście, tych najbardziej ulubionych ewentualnie niezbędnych, jak bielizna czy ciepła bluza z polaru, trafiło do plecaka. Książki, płyty i inne drobiazgi musiał zostawić. Raz, że żał mu było wyrzucać te rzeczy, a dwa, zawsze mogły się komuś przydać, choćby kumplom. Rozejrzał się po pokoju. Już prawie wszystko zostało spakowane, jedynie jego gruby niebieski kajet, stanowiący coś w rodzaju dziennika, oraz laptop leżały na biurku.

Jeszcze raz sprawdził, czy w kieszonce plecaka ma wszystkie dokumenty, wcisnął głębiej foliową koszulkę z wynikami badań profilaktycznych oraz tymi z laboratorium i westchnął ciężko. „Ogarniesz. Wtedy ogarnąłeś, teraz też” – pomyślał, choć wcale tak nie czuł. To była raczej żałosna próba pozytywnej afirmacji, ale na razie musiała wystarczyć. Usiadł przy biurku, uruchomił komputer i przez dłuższą chwilę zajmował się kontami na portalach społecznościowych. Na szczęście miał tylko dwa: na Facebooku i na Instagramie. Dezaktywował oba, usunął jedno stare konto mailowe, takie, które w zasadzie znali wszyscy jego znajomi, założył szybko nowe i dopiero gdy skończył, spostrzegł, że zrobił literówkę.

– A niech to... – mruknął pod nosem. Już miał usunąć również to nowe konto, lecz po krótkim namyśle uznał, że może tak miało być. Jeszcze zostało mu kilka forów dyskusyjnych. Stamtąd też chciał definitywnie zniknąć. Wszedł na ostatnie i nagle spostrzegł, że w jednym z subskrybowanych wątków ktoś zostawił komentarz. – Ciekawe.

Przeleciał wzrokiem parę zdań i zmarszczył czoło. Nie wahał się zbyt długo. Odpisał forumowiczce w prywatnej wiadomości i zostawił swój nowy adres e-mail. Zamknął laptop i schował

razem z dziennikiem do plecaka. Teraz to już naprawdę było wszystko, co miał do załatwienia, a dokładnie – do zamknięcia. Pozostała jedynie rozmowa z Pakim i mógł wyruszać w świat. Zrzucił plecak na ramię, ostatni raz powiódł oczami po pokoju, patrząc na nową sofę, która wczoraj zastąpiła wysiedzianą staruszkę, na szafę z naprawionymi drzwiami i nowe żaluzje, bo stare już dawno się zepsuły. O tak. Mógł czuć satysfakcję, że zostawia pokój w znacznie lepszym stanie niż przed czterema laty, gdy najpierw on sam tu zamieszkał, a wkrótce potem dołączyła do niego Martyna.

– To na razie. – Zamknął za sobą drzwi.

Paki jak zwykle urzędował w kuchni. Zauważył Iuliana, ledwie ten przekroczył próg.

– Co jest, stary? – Zatrzymał w bezruchu dłoń trzymającą surowe jajko. – Wybierasz się gdzieś?

– Taaa. Wyjeżdżam.

– Co? – Pakistańczyk wybałuszył już i tak bardzo wylupiaście oczy. – A dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Do domu, a może do ciotki, do Manchesteru.

– Serio? Na długo?

– Jeśli pytasz, kiedy wrócę, powiem, że nigdy. – Iulian uznał, że czas odkryć przed przyjacielem karty.

– Czekaj. – Paki szybko zakręcił gaz pod patelnią, położył ostrożnie jajko na blacie szafki i podszedł do kumpla. – Co jest grane? – Odruchowo przejechał dłonią po brodzie.

– Po prostu wyjeżdżam.

– A Martyna?

– Co z Martyną? – Ramiona Iuliana nieznacznie się uniosły. – Nic.

Paki nie popuścił. Zawłókł go do salonu, usadził przed sobą i kazał sobie wszystko wyjaśnić.

– A co tu do gadania. Już czas zacząć coś nowego. „A raczej zakończyć coś starego” – dodał bezgłośnie.

– A Marti? – Paki zrobił głęboki wdech, bo to, co zamierzał wygłosić, nie było dla niego łatwe. Nigdy nie wtrącał się

w prywatne sprawy Iuliana, a już zwłaszcza nie wnikał w kwestie damsko-męskie. Raz, że uważał to za grzech, a dwa, to nie był jego interes. Mimo to uznał, że powinien coś wytknąć kumpłowi. A nuż się opamięta. – Zostawiasz Marti, bo straciła dziecko? Jeśli tak, jesteś gorszy od psa. – Udał, że spluwa na podłogę.

Podobnie jak Sergiusz i Sasza, również Paki sądził, że Martyna nieszczęśliwie poroniła. Cała trójka współlokatorów wiedziała przecież o ciąży dziewczyny, spodziewali się więc rosnącego brzucha, a pod koniec roku narodzin pierwszego potomka Iuliana i Marti, jak ją nazywali. Martyna od początku załatwienie tego problemu wzięła wyłącznie na siebie. Kilka dni po powrocie od rodziców pod pozorem kontrolnego badania wybrała się do ginekologa, naturalnie z Iulianem. Lekarz orzekł, że macica wygląda prawidłowo, ale wersja dla Pakiego i reszty chłopaków brzmiała: „poronienie”. Martyna wróciła ze zbolaną miną, skryła się w sypialni razem z Iulianem, a po kilkunastu minutach ten wyszedł, oświadczył chłopakom, co się wydarzyło i poprosił, żeby nigdy, przenigdy nie wracali do tego tematu, bo ona bardzo cierpi. Czuli się z tym wybitnie podle, widząc reakcję kolegów, a zwłaszcza Pakiego. Ten, chociaż prawie nigdy nie kłął, tym razem puścił parę błuzgów na niesprawiedliwość losu, a potem zamknął się w swoim pokoju i przesiedział tam pół dnia.

– Czemu nic nie mówisz? Słyszałeś? Pytałem o coś. – Popędził Iuliana.

– Nie przez to. Oboje podjęliśmy decyzję. Ostatnio się nam nie układało, przecież wiesz.

– No wiem. – Dłoń Pakiego jak zawsze powędrowała w okolicę brody. Kilka razy przeciągnął po niej palcami, podrapał się po głowie i westchnął ciężko.

– Od miesiąca nie gadaliśmy ze sobą. Martyna nie chciała. Nie, żebym ją oskarżał – dodał naprędce Iulian, widząc krytyczne spojrzenie przyjaciela. – Po prostu. Czasami coś się nie udaje, a jakieś złe wydarzenie przyspiesza koniec.

– Nie kochałeś Marti?

– Kochałem i Kocham, ale nie będziemy razem. Tak czasami bywa, Paki.

- Ja bym walczył. Gdybym kochał – sprecyzował.
- Do walki potrzeba dwóch wojowników.
- Tchórzysz?
- Nie. Oboje postanowiliśmy ustąpić pola.
- Ona wie?
- Co?
- Że wyjeżdżasz?
- Wie. Jest teraz u rodziców. Wyjechała specjalnie, żebym mógł spokojnie się spakować. Wróci za kilka dni. Mówiła, że chce z wami pomieszkać do końca studiów.
- A co z kasą za odstępnę? Zostawiasz Marti na lodzie. Nie stać ją na opłaty za was dwoje.
- Przełałem jej na konto moją dolę za pół roku do przodu. Więcej nie mam. – Grdyka na szyi Iuliana podskoczyła, bo poczuł się głupio, gdy Paki świdrował go wzrokiem jak najgorszego łotra. – Straciłem robotę. – Wyznał po chwili obopólnego milczenia. – Nie przedłużyli mi umowy.
- To gnoje.
- No.
- Mógłbym popytać, czy u nas nie ma miejsca. – Paki wyszczerzył śnieżnobiałe i okropnie krzywe zęby. – Robota ciężka, ale dobrze płacą. Przywykniesz. – Pił do tego, że praca w chłodni przy rozbiorze mięsa nie należała do łatwych ani przyjemnych. Nie dość, że monotonna, wymagająca uwagi, to jeszcze w zimnie.
- Dzięki, ale nie. – Iulian uśmiechnął się do kumpla. – Sorry, ale na mnie czas. Już nic mnie tu nie trzyma. – Rozejrzał się z nostalgią po pokoju, w którym spędził tyle szczęśliwych chwil. – Nie mam pracy, Martyna nie widzi przed nami przyszłości, ja tak samo. Po co mam tu zostać? Mam się wzajemnie użerać jeszcze przez rok? Mam spać na kanapie? Daj spokój. To trzeba zamknąć. Ona ma studia, musi tu zostać. Ja nie.
- Skoro tak mówisz... – Paki zmarszczył nos, mając wrażenie, że Iulian nie jest do końca z nim szczery. – Czas jest jak miecz, jeśli go nie utniesz, on utnie ciebie – wygłosił jedno z ulubionych powiedzonek.

– No właśnie. – Iulian skwapliwie potaknął. – Muszę zapamiętać. Zostawiłem w pokoju trochę ciuchów. Przejrzyj je, może coś ci się przyda. A jak nie, wywalcie do kontenera.

– Jasne.

– Posłuchaj, Paki...

– No co?

– Albo nic. – Machnął ręką. – To trzymaj się. – Wstał i podszedł do kumpla, żeby uścisnąć mu rękę.

– A co z chłopakami, nie poczekaś na nich?

– Spoko. Przecież nie umieram. Odwiedzę was pewnie jeszcze w tym roku. Powiedz im, że wtedy postawię wódkę na pożegnanie. – Zaśmiał się.

– Dobra. – Paki odprowadził go do wyjścia. Jeszcze raz uścisnął prawicę kumpla, zamknął za nim drzwi i oparł się o nie plecami. Coś właśnie się skończyło.



Magda postanowiła, że przeprowadzi swój plan. Nie wyobrażała sobie, że spędzi cały długi miesiąc, wiecznie czekając na Łukasza i nie mając absolutnie nic do zrobienia. Z trudem zasnęła, bo nie lubiła spać sama, lecz ostatecznie się udało. Zanim jednak zmorzył ją sen, zdążyła w myślach uznać się za ofiarę losu, żalostną kobietę, której byt stanowił jedynie mąż, istotę bez własnego życia, wiszącą niczym bluszcz na współmałżonku, który nie wiedzieć kiedy stał się centrum jej uniwersum. Bez Łukasza nie istniała, a co najgorsze, on w ogóle jej nie potrzebował. Podobnie córki. Zaraz po powrocie ze Stanów jechały do Poznania, do wynajętej stacji, gdzie miały spędzić kolejne pięć lat. Czowała, że to już koniec bycia komukolwiek potrzebną.

Obudziła się i zeszła do kuchni. Zaparzyła kawę i zabrała filiżankę na piętro. Łukasz jeszcze spał, przechodząc, słyszała ciche pochrapywanie, jak mu się czasem zdarzało po wypiciu alkoholu. Co dziwne, Magda nie czuła nawet najmniejszych objawów kaca, może to nerwy sprawiły, że wszystko z niej wyparowało bez śladu. Znalazła w pokoju Mileny atlas, poszukała mapy Europy,

bo na dalsze wycieczki nie było jej stać, zamknęła oczy, chwilę pokrążyła palcem i pac, dotknęła mapy na chybił trafił.

– Rumunia? – spytał Łukasz, marszcząc czoło.

Wstał przed południem, połamany, jak z krzyża zdjęty i położył na piętro, żeby skorzystać z łazienki. Zastał Magdę siedzącą z laptopem na kolanach i chyba diabeł go pokusił, bo zapytał, czy już zabukowała hotel. Powiedziała, że jeszcze nie, ale szuka. Wtedy spytał, w jakim mieście, a gdy żona odparła, że pierwszą noc spędzi w Budapeszcie, odetchnął z ulgą. Niestety, tylko na chwilę.

– Wybierasz się do Rumunii? Serio? – Przysiadł na brzegu małżeńskiego łóżka.

– Tak.

– Oszalałaś?

– Czemu?

– Jak to czemu? Co ty tam chcesz robić?

– Zwiedzać. – Dopiero teraz raczyła na niego popatrzeć, bo dotychczas nie odrywała wzroku od ekranu. – Będę podróżować przez Rumunię i zwiedzać.

– Wspaniale – prychnął z przekąsem Łukasz. – Ile kosztuje taka przyjemność?

– Jeśli myślisz, że poproszę cię o kasę, to się mylisz. Mam swoje pieniądze.

– Ile czasu cię nie będzie? – Ciągłe nie traktował jej serio, bo każde pytanie zadawał coraz bardziej ironicznym tonem.

– Minimum dwa tygodnie, a jeśli mi się spodoba i starczy oszczędności, może nawet trzy. – Poprawiła poły szlafroka, bo jeszcze nie zdążyła się przebrać z piżamy.

– Córki wyjechały, żona też wkrótce wyjeżdża, a ja sam zostaję na posterunku. – Udawał, że popadł w zadumę. – To kiedy mnie opuszczasz?

– Jeszcze nie wiem. Najpierw muszę zaplanować podróż, zrobić rezerwację kilku pierwszych noclegów i kupić jakiś przewodnik. – Przesunęła wzrok na ekran. Starła się zachować stoicki spokój, ale zdradzały ją rumiane placki na szyi i drżące opuszki palców.

– Jaki masz budżet?

– Dwadzieścia pięć tysięcy – mruknęła od niechcenia.

– Fiu, fiu! – Łukasz bezwiednie przecesał włosy. Nie sądził, że żona z marnej nauczycielskiej pensyjki zdołała odłożyć tyle pieniędzy. Był pewien, że przepuszcza je na bieżąco, a jeśli ma coś na koncie, to nie więcej niż tysiąc, góra dwa. – Sporo kasy.

– Sporo.

– A może pojedę z tobą?

Zapadła cisza zakłócana jedynie delikatnym klikaniem touchpada.

– Nie chcesz ze mną jechać, więc po co pytasz? – odezwała się w końcu Magda. – Zaraz powiesz, że pojedziesz choćby jutro, a jutro powiesz, że w środę, bo jeszcze musisz zamknąć kilka spraw, a potem wyskoczy ci coś bardzo ważnego i przełożysz wyjazd na przyszły poniedziałek, ale zapomnisz, że wtedy masz spotkanie z kimś jeszcze ważniejszym i tak będziesz mnie zwodził, aż minie lipiec i dopiero wtedy polecimy razem na Majorkę, a tam ja będę snuć się przez dwa tygodnie przy basenie, a ty będziesz nadal załatwiał swoje bardzo ważne sprawy, siedząc w pokoju przed laptopem i pijąc mrożoną herbatę. Nie chcę tak, Łukasz. – Podniosła na niego szklisty wzrok. – Już nie.

– Widzę, że wszystko sobie przemyślałaś.

– Nic sobie nie przemyślałam, ale gdy nie zrobię choć jednego kroku, nigdy nie ruszę z miejsca. – Po jej twarzy ściekały pierwsze łzy.

– Twoja decyzja.

Uznał, że wystarczy. Był aż nadto wyrozumiały. Wrócił do łazienki, żeby się ogolić, później założył jasną koszulę i także spodnie, wychodząc krzyknął w stronę sypialni, że jedzie do kościoła, a potem do siostry na obiad.

Została sama.

Ona i Rumunia.



Tę noc spędzili razem i osobno. Razem, ponieważ w jednym łóżku, a osobno, bo Łukasz wrócił od Renatki wyjątkowo

poirytowany i prawie wcale nie odzywał się do żony. Zwierzył się siostrze i szwagrowi, na jaki to ekscentryczny pomysł wpadła Magda, przedstawił im zagrożenia wynikające z samotnej eskapady w takie miejsce i usłyszał dokładnie to, czego oczekiwał. O ile Stacho, szwagier, niewiele mówił, bo w Rumunii nigdy nie był, o tyle Renata, która też знаła ten kraj tylko z opowiadań, nie certoliła się z opinią o planach Magdy.

– Bez urazy, ale twoja żona to skrajnie nieodpowiedzialna idiotka. Co ona sobie myśli? Tam jest niebezpiecznie! Zaraz ją ktoś napadnie, okradnie z pieniędzy albo i samochodu, za który ty przecież zapłaciłeś! A jeszcze, nie daj Bóg, niech ktoś ją zgwałci, Cygany jakieś! I co później? A jak zarazi się jakimś syfem? Boże, co za bezmyślna kretynka! Wyobraźni nie ma? – Używała sobie, coraz mocniej się nakręcając.

Nawet stanowczo wygłoszona uwaga Staszka, żeby skończyła ujadać, jej nie ostudziła. Nadawała na Magdę, a Łukasz z minuty na minutę czuł rosnący gniew, bo cokolwiek by mówić, Renata miała rację; choć fakt, mogłaby przedstawiać swoje zdanie w nieco bardziej wyważony sposób. Nie znosił jazgotu siostry, a już tyle czasu tego słuchać? Współczuł mężowi Renaty; miał chłop anielską cierpliwość do tej rozkrzyczanej jędzy. Wrócił do domu z głową pękającą od sprzecznych myśli i z ulgą zasiadł przed telewizorem. Liczył, że Magda dołączy do niego, kiedy spostrzeże jego powrót, ale nie wychylała nosa z sypialni. Gdy przechodził obok drzwi, usłyszał ciche klikanie myszki i kusiło go, żeby wejść i spytać, czy zmieniła zdanie, a może nawet spróbować na nią wpłynąć, lecz po spotkaniu z Renatą nie miał sił ani chęci na rozmowy.

A później zadzwonił Roszyński i powiedział, że muszą pilnie pogadać. I problem sam się niejako rozwiązał. Przynajmniej tak się Łukaszowi wydawało.